

Ten las wysiał się sam.

Tak mówili miejscowi. Nie wiadomo, czy tak się stało. Niektórzy byli innego zdania. Na świecie podobno nic nie dzieje się samo, ale kto to wie?

Sawiccy dostali ten ugór w spadku po ciotce. Tak rozpowiadali. Po starej wariatce, która gadała do siebie, a na innych tylko dziwnie patrzyła. Ludzie we wsi unikali jej spojrzenia, żeby przypadkiem uroku jakiegoś nie rzuciła. Tylko czasem, gdy choróbko ich dopadało i ziół od niej potrzebowali, o swojej obawie zapominali.

Mieszkała sama, w tym dużym domu pod lasem. Dom był już zaniedbany, ale porządnie pobudowany, na głębokich fundamentach, mury ze starej poniemieckiej cegły. Trochę wysiłku, trochę grosza i byłby jak nowy.

Ojciec Janka dobrze o tym wiedział. Podobała mu się też parcela, w kwadrat, trochę na uboczu, ale z dobrym dojazdem do gminnej drogi, pokrytej nowym asfaltem. Matce Janka również przypadła do gustu, podobnie jak dom, o hektarach za nim i skrawku ugoru tuż przy lesie sołtysa nie wspominając.

Rozmawiali często, że to ciotce niepotrzebne, za dużo tego wszystkiego na jedną starą babę, w dodatku niespełna rozumu. Nie mówili jej jednak o swoich przemyśleniach. Czekali.

Tej ostatniej jesieni ciotce zupełnie pomieszało się w głowie. Może samo z siebie, a może przez to, że ojcu Janka nagle czekanie się znudziło.

Poszedł do niej pod wieczór. Wrócił bardzo niespokojny. Urok chyba na mnie rzuciła, powiedział tylko i położył się spać. Rano stwierdził, że dłużej czekać nie można i skoro do niej nic nie przemawia, to trzeba inaczej.

Od tego momentu staruszka, która nigdy nic złego nikomu nie zrobiła, okazała się niebezpieczna dla ludzi. Tu komuś padła świnia, tam innemu krowa, ptasia grypa przyleciała do wsi nie wiadomo czemu, gdzieś u kogoś kury przestały się nieść. Wcześniej też tak było, ale teraz działo się za przyczyną jej czarów. Tak rozpowiadał ojciec Janka, którego wtedy jeszcze nie było na świecie.

Nie dość, że sam tak twierdził, to i innych do słuszności swoich twierdzeń przekonywał. Niedługo trzeba było, żeby się przekonali.

Drzwi do sklepu we wsi zamknęły się dla starej wariatki, proboszcz niedwuznacznie dał do zrozumienia, że zła do kościoła wejść nie powinna. No i ludzie nie wpuścili, raz, i drugi. W końcu przestała przychodzić.

We wsi już jej nie widywano, z domu wychodziła tylko na ten półhektarowy ugór przy lesie sołtysa, na którym rosły ukochane kwiaty, zioła i chwasty, co siłę leczniczą miały. Tak naprawdę, to one do czynienia uroków służą, powiedział kiedyś ojciec Janka w gospodzie, a że głos miał donośny, wielu go usłyszało.

Ludzie zapomnieli szybko, ilu w dawnych latach pomogła. Pamięć jest zawodna. Dawali znać staruszce, że nie pasuje im takie sąsiedztwo. Ten rzucił kamieniem w okno, tamten pokrywą od studni w dół strącił, a żaden tego nie widział, ba! nikt nie domyślał się, kto to mógł zrobić. Najpewniej sama stara, przez ten swój brak rozumu.

Chorowała wtedy chyba, bo na dwór nie wychodziła. Kiedy odzyskała siły, poszła, żeby ziół na napar sobie nazrywać, ale „półhektar” był świeżo zaorany, a po zielsku, do którego przemawiała nieraz jak do

dziecka, śladu nie zostało.

Postała chwilę, patrząc na ojca Janka, który akurat rozliczał się z sąsiadem za zrobioną orkę, i poszła do domu, krzyknąwszy coś na odchodne.

Następnego dnia już nie żyła, a Sawicki nikomu nie powiedział, że poczuł wtedy na plecach ogromny ciężar jej dziwnego spojrzenia. Kiedy ciotki już nie było – pochowali ją w odległym kącie cmentarza – wciąż nie mógł się go pozbyć i wymazać z pamięci niezrozumiałych słów, które wtedy za nim wykrzyczała.

Wiosną, dokładnie w tym samym roku, w którym urodził się Janek, w miejscu ziół wyrzwały z ziemi zielone igielki. Rosły niewiarygodnie szybko. Gdy miał dziesięć lat, drzewka były już niczego sobie.

Sawiccy często tam chodzili. Jakby coś im kazało. Samo się wysiało i rośnie, gadali. Byli zadowoleni, że się nie pośpieszyli, żeby sadzonki w nadleśnictwie kupować. Jakoś trochę zeszło im przy innych zajęciach. No, i tylko oszczędność wyszła z tego. Nic tak nie cieszy, jak własnego grosza nie wydać, a mieć, jakby się od losu należało.

Patrzyli na ten swój młody las i mówili, że jak pomrą, Janek będzie miał jak znalazł materiał na krokwie na nowy dach, bo ten, który oddzielał od nieba wnętrze domu po ciotce wyglądał już nie za dobrze.

Głupie myślenie to było. Jesienią – Janek skończył wtedy osiemnaście lat – drzewa zaczęły „wypadać”. Tak mówili miejscowi. Schły, nie wiadomo dlaczego. W pierwszym roku pięć, w następnym kolejne i końca tego nie było widać.

Starego bardzo to przygnębiało. Postarzał się bardzo, stracił na wadze, zmarniał. Jakby urok ktoś na niego rzucił. Zjedz coś, mówiła żona, bo uschniesz na wiór. Nie odpowiadał. Lata leciały. Któregoś dnia stary (Janek miał już trzydziestkę na karku) poszedł znów do lasu, żeby usunąć kolejne uschnięte chojaki. Musiał się potknąć.

Matka Janka znalazła trupa. Leżał z rozbitą głową, nawet krwi nie było za dużo. Część wsiąkła w mech, na kamieniu widać było ślad – kawałek zdartej skóry, trochę czerwonego, i tyle. Zaciśnięte dłonie ścisnęły kurczowo leżące suche drzewo, trudno je było rozewrzeć. Potem był pogrzeb, skromny, bo w domu się nie przelewało.

W następnym roku odeszła Sawicka. Poszła na poziomki, które się wysiały. Same. W tym lesie wszystko samo się robiło. Tak mówili niektórzy.

To musiał być wylew. Janek znalazł matkę w poziomkach, dojrzałe już były, nagrzane słońcem, tylko rwać. Ale matka już nie miała do tego głowy. Może czuła ich zapach, może nie. Nikt się tego nie dowie, nim sam kiedyś nie sprawdzi.

Dziwne to było, że oboje w tym lesie śmierć zastała. Las wyglądał też kiepsko, większość drzew przypominała kikuty, zeschnięte gałęzie połamał wiatr. To było już cmentarzysko, na którym tylko gdzieś rośl rachityczny dąb, sosna, klon czy brzoza.

Janek nie miał zamiłowania do gospodarskich zajęć, za to odziedziczył po ojcu to przygnębienie, którym stary zaraził się przed śmiercią. Do lasu też go ciągnęło, o wiele bardziej niż na cmentarz na grób rodziców.

Nie po to, żeby położyć sztuczne kwiatki i zapalić świeczkę na miejscu ich śmierci, tak jak to robią często bliscy tych, co zginęli w wypadkach drogowych. Nie. Chodził tam, bo las (w zasadzie jego marne resztki) przyzywał go do siebie. Przyciągał mocno, choć przecież słabł z dnia na dzień, czerniał, umierał.

Wreszcie został z niego tylko jeden żyjący – samotny pokurczony dąb. Pomimo mizernego wyglądu okazał się przydatny. Było się na czym powiesić.

Zwęglonego trupa Janka ściągnięto tydzień po tym, jak ze sobą skończył. Pewnie o wiele później by go odkryto, gdyby nie piorun, który przypadkiem uderzył w samotne drzewo i wzniecił płomień. Ludzie zlecieli się, żeby popatrzeć na widowisko.

Potem już nie się u Sawickich nie działo. Hektary dobrej buraczanej ziemi leżały odłogiem, a dom popadł w ruinę. Spadkobierców nie było. Sąsiedzi nie byli jakoś zainteresowani.

Tylko zioła i kwiaty rosły jak oszalałe, obejmując na powrót w posiadanie kawałek ziemi, na której kiedyś rósł las. Ten, który sam się wysiał i sam dokonał swojego żywota, bo tego chciał. Tak mówią miejscowi.

Są jednak i tacy, którzy twierdzą, że za jego narodzinami i zgonem stoi stara wariatka. Musiała maczać w tym palce.

Kwiaty i zioła inaczej by się tam nie wysiały, w dodatku tak szybko i tak bujne, i piękne jak kiedyś – za jej życia. A już na pewno nie same.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Jacek Londyn, dodano 14.07.2022 20:08

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.